Rocznik IV. Kraków 1-go lipca 1912. Nr. 1.

NASZA SKARBNICA

pismo dla rodzin chrześcijańskich

wychodzi **raz** w miesiącu — około dnia 5-go

Prenumerata „NASZEJ SKARBNICY“ wynosi (**półrocznie**) (od lipca do końca bież. roku): **1** kor. **25** hal. — Do Niemiec na pół roku: **1** kor. **50** hal. — Do Ameryki rocznie **1** dolar.

ADRES: Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Wznowienie wydawnictwa.

Niniejszym numerem, wznawiamy w Imię Boże, wydawnictwo ***Naszej Skarbnicy*** przerwane przed kilkoma laty.

Jak w dawniejszych rocznikach tego pisma tak i teraz umieszczać będziemy w *Naszej Skarbnicy*: powiastki pouczające i różne rady pożyteczne, słowem takie artykuły, które pismo nasze uczynią »skarbnicą« oświaty i rozrywki.

Dawać chcemy Szan. Czytelnikom co miesiąc taki duży zeszyt *Naszej Skarbnicy*, jak ten zeszyt pierwszy, ponieważ zaś koszta takiego obszernego pisma są wielkie, przeto bardzo prosimy życzliwych nam Czytelników, aby i sami zapisali sobie *Naszą Skarbnicę* na to półrocze, i swych znajomych do zapisania sobie tego pisma nakłaniali i zachęcali.

Na całe półrocze, czyli od lipca do końca bież. roku kosztuje *Nasza Skarbnica* tylko 1 kor. 25 hal., a za tak małą kwotę otrzymywać będą Szan. Czytelnicy co miesiąc duży i pouczający zeszyt *Naszej Skarbnicy*.

Zwracamy i na to uwagę, że z końcem półrocza da się z tych 6-ciu zeszytów *Naszej Skarbnicy* złożyć osobna dość duża książka, mająca wartość i na przyszłość.

Zaznaczamy wreszcie, że *Naszą Skarbnicę* przesyłać będziemy tylko tym Czytelnikom, którzy z góry uiszczą prenumeratę, więc kto chce otrzymać zeszyt następny i dalsze, niech nadeśle jak najrychlej prenumeratę: **1** kor. **25** hal. pod adresem:

Redakcya „NASZEJ SKARBNICY“ w Krakowie
ulica Powiśle, liczba **12.**

O książkach i czytaniu.

Wartość książki lub pisma oceniamy po większej części nie tylko według myśli, które zawiera, lecz także według myśli, jaką budzi w czytelniku. Jakże jednak rzadko zwracamy na nie uwagę naszą, przeglądając książki pobieżnie tylko, nie odnosząc takim sposobem z przeczytanego dzieła żadnej korzyści.

Nieraz myśl jedna więcej zawiera mądrości, niż księga cała.

Chcąc z czytania jaką taką odnieść korzyść, trzeba umieć czytać, to znaczy, że trzeba czytać z uwagą, z zrozumieniem rzeczy i trzeba wniknąć w treść dzieła, bo jeśli człowiek księgi czy karty tylko przerzuca, a żadnej porządnie nie przeczyta, pozna ich wiele, ale z żadnej wielkiego nie odniesie pożytku. Nie każdy umie czytać książki, dlatego też ktoś powiedział, że niejednemu łatwiej książkę napisać, niż innemu ją przeczytać.

»Niech czyta książki nietylko oczami, lecz duszą. Będzie mógł poznać, że czyta je dobrze, gdy uczuje, że wzruszają go one do głębi, przyspieszają bicie serca i oddech wstrzymują. Jeżeli mu nie dadzą nic więcej, to natchną go miłością wiedzy, zarażą gorączką prawdy«.

Jeśli natrafisz na dzieło zajmujące, budujące, to przeczytaj je częściej, bo jak mówi pewien uczony »książka, która niewarta, żeby ją czytać dwa razy, nie jest też warta, aby ją czytać raz«.

Trzeba także być wybrednym w wyborze dzieła, bo to tylko dzieło czegoś warte, z którego człowiek może się poprawić i czegoś nauczyć. Dla-

tego też pewien myśliciel wyrzekł, że nietylko z tego poznasz człowieka, z kim przestaje, ale i z tego, jakie książki czyta: kto lubi poważne, mądre książki, ten okazuje, że kocha mądrość. Jeden szuka w książce nauki i prawdy, drugi tylko rozrywki.

Wielu lubi się szczycić księgami, posiadaniem biblioteki, a zapominają oni, że nie samo posiadanie książek może człowieka zrobić uczonym, bo »nie z ilości książek czerpiemy wiedzę, lecz z tego, jak i jakie książki czytamy, bo częstokroć czytanie jest tylko biernem przyjmowaniem cudzych myśli, a duch czytelnika zupełnie jest nieczynny«.

Z książek wydobyte bogactwo cudzych myśli zowie się uczonością, lecz mądrość daje tylko własne doświadczenie i przetrwanie w sobie nabytych wiadomości.

Głęboką myśl odpowiedział jakiś Francuz:

»Książka była mi zawsze najlepszem lekarstwem w przeciwnościach, nie miałem przykrości tak wielkiej, żeby jej nie usunęło czytanie«.

Dobra książka jest najlepszym, wiernym przyjacielem, który się nie zmieni; nie zdradzi i zawsze miłą sprawia pociechę, człowiekowi sprawia wiele dobrodziejstw, a nie wymaga wzajemności.

Inny znów myśliciel powiada: »Kto książki czyta, lepszy jest od człowieka głupiego; lepszym od tamtego jest, kto czytanych rzeczy nie zapomina; jeszcze lepszy, kto zrozumie, co czyta, a najlepszy, kto mądrość książkową w życie wprowadza«.

Jak choroby, strzedz się należy czytania złych książek, bo one duszę zarażają, człowieka na złą drogę zaprowadzają i po większej też części są powodem upadku człowieka.

Najpodatniejszym czasem dla posiewu tego złego ziarna są lata szkolne, młodzieńcze.

Jakże po dziś mało dobrych książek i jak społeczeństwa małe mają jeszcze zrozumienie tego zła.

Ileż dobrego możnaby zdziałać, ile złego naprawić, dając młodzieży szlachetniejszą strawę duchową?

Kiedyż nareszcie zrozumie się prawdziwa wartość książek pożytecznych?

STRACH.

Z życia górnika.

Ażeby prędzej przyjść do szybowego wyjazdu, Jan Kostka, młody górnik puścił się »na bliższe drogi«. — Nie znał jeszcze dobrze kopalni, mimo to jednak, tak mu spiesznie było »na świat«, tak się serce rwało do tej, która tam na niego z równem utęsknieniem czekała, że odważył się na krok tak śmiały, jakim jest droga przez »stare działa«.

Jemu jednak ani przez myśl nie przeszło jakieś niebezpieczeństwo; był młody, krzepki, pełen sił żywotnych, w tym szczęśliwym wieku, gdy najtrudniejsze przedsięwzięcia zdają się być niczem wobec olbrzymiego zasobu energii i woli. Szedł rączym krokiem z wesołą na ustach piosenką, która dzwoniła o ściany chodnika, uderzała echem rozgłośnem o ciemne otchłanie komór.

Wszystko z początku szło bardzo pomyślnie, tem lepiej, że chodnik był prosty i obszerny, i że Kostka przypomniał sobie dokładnie drogę, którą raz przebywał w towarzystwie starych górników. Już się też cieszył naprzód, jak to on pierwszy po szychcie stanie w podszybiu u wyjazdu i jak potem skokiem znajdzie się tam, gdzie go tak bardzo serce ciągnie.

Idąc w ślad, wesołym myślom swoim — huknął teraz z całej piersi:

— Maryś, moja Maryś! — aż mu echo dalekiej komory odpowiedziało tak rozgłośnie, jakby to ona z nim się przekomarzała, powtarzając:

— Maryś!

Pierwsze zakłopotanie sprawiły Kostce rozstajne drogi, któremi się długi chodnik zakończył. Wiedział, że ma iść na zachód, ale zdać sobie nie mógł sprawy: w której stronie ten zachód leży?

Chodniki wszystkie były niskie i ścieśnione. Podpory z drzewa i dyle stropowe zostały miejscami tak zmiażdżone, że pień gruby zmienił się w drobne patyczki. Belki pionowe podostawały kolan, przez które sterczały wyłupane trzaski i wyglądały, jak postacie zmuszone pod

naciskiem olbrzymiego ciężaru do przybrania klęczącej pozycyi. Kostka po dłuższej chwili namysłu skręcił w jeden z mniej wygodnych chodników i zaczął się szybko między wąskiemi ścianami przesuwać. Po dłuższej wędrówce wszedł do komory i bacznie się po niej jął rozglądać.

Komora ta wydała mu się obcą zupełnie. Ściany miała z wilgoci obślizgłe, powała była miejscami zabezpieczona belkowaniem i wsuniętemi poza belki deskami, ale snać i tu musiał być nacisk ogromny, bo drzewa były zdruzgotane, deski poprzełamywane i wszystko w takim wydawało się stanie, jak gdyby wraz ze stropem, na którym znać było duże szczeliny, każdej chwili runąć miało na ziemię. — Z komory, która ciągnęła się w szerz daleko tak, że część jej całkiem znikała w mroku, wiódł tylko jeden chodnik kręty, pochyły. Kostka zapuścił się jeszcze w ten chodnik, ale i tu zoryentował się łatwo, że on tą drogą nie przechodził nigdy, że zbłądził i że mu potrzeba wrócić do głównego chodnika i skręcić w inną poprzecznicę*) na drogach rozstających.

Przy wejściu do komory chciał się rozglądnąć raz jeszcze, wzniósł do góry kaganek, by ją lepiej oświecić, ale w tej samej chwili wpadło kilka kropel z powały wprost na płomień kaganka, który pryskając, sycząc i walcząc zawzięcie z wodą, musiał wreszcie uledz przeważającej sile drugiego żywiołu i zgasł.

Kostka został w ciemnościach.

Pierwszą myślą, która mu głowę przeszyła, było: czy ma przy sobie zapałki? i na samo przypuszczenie, że mógłby ich nie mieć, już go lęk obleciał. Ażeby kaganek mieć tuż przy sobie usiadł na ziemi i rozpoczął pilne przeszukiwanie całej odzieży. Ręce mu drżały, jak w febrze. Po każdem bezskutecznem zapuszczeniu palców w kieszenie zimny dreszcz go przechodził.

Nareszcie gdzieś w samym rąbku drugiej kapoty namacał jedną jedyną zapałkę. Ręce miał zmoczone obcieraniem zalanego wodą knota, więc je starannie wytarł o poły kapoty i ostrożnie siarnik zapali. Ale przy błękitnym pierwszym płomyku ujrzał coś takiego, co mu odrazu stra-

*) Boczna ulica.

chem okropnym włosy zjeżyło na głowie. W odległości kilku kroków stał ktoś w rozpostartym szeroko długim białym płaszczu. Kostka, aż zadygotał cały; zbliżył zapałkę do knota, by co prędzej światłem odpędzić widmo, ale czy to wskutek drżenia ręki, czy też z powodu przesycenia opadłą z powały wilgocią knot rozświecić się nie dał i Kostka znalazł się naraz w zupełnej ciemności.

W pierwszej chwili nie mógł zdać sobie sprawy: co począć; bezużyteczny kaganek wypuścił z ręki i chciał iść po omacku w kierunku chodnika, którym wszedł do komory. Rzucił go naprzód, ale uderzył zaraz w głaz, który go z nóg powalił. Starał się otworzyć szeroko oczy, by przecież coś dojrzeć w zupełnej ciemnicy, ale na czarnym odmęcie ani jedna nie odcieniała się linia. Zdawało mu się tylko, że widzi białą postać bliżej siebie; zaczął drżeć mocniej na całem ciele, zacisnął silnie powieki i stał. Czuł jednak, że słabnie, że coraz mocniej uginają się pod nim kolana, więc przykucnął i siedział nieruchomy z oczyma zamkniętemi. Podrażniona i wyczulona wyobraźnia poczęła mu teraz nasuwać na pamięć wszystko, co kiedykolwiek słyszał od starych górników o dobrych i złych duchach kopalni. Widział jak najwyraźniej owe brodate djabliki, co plączą się wszędzie w podziemiach i górnikom rozliczne wyrabiają psoty, a najchętniej siedzą w starych działach. — Nie wątpił, że muszą być gdzieś niedaleko i że się w krótce wezmą do niego. Ale Kostka był pobożny, więc zaczął odmawiać Zdrowaśki i żegnał się często... To mu znacznie ulżyło. Siedział teraz przez chwilę spokojnie, starał się myśli skupić i jął zastanawiać się nad tem, czy przecież nie byłoby jakiego sposobu wydostania się z tej komory.

Z pierwszego kroku w ciemności przekonał się jednak, że mógł tylko posuwać się na czworakach, lub czołgać się, macając rękoma przed sobą. Przeżegnawszy się raz jeszcze, chciał rozpocząć trudną wędrówkę, gdy wyciągnięta dłoń jego dotknęła śliskiej ściany, która wydała mu się ścianą grobu. I wszystko, co pod wpływem modlitwy ucichło na chwilę, odezwało się w nim na nowo. Lęk go chwycił w ramiona i trząść nim począł, jak potężny wicher wstrząsa drzewem osiki. — Odrzucił się od śliskiej ściany i zaczął pełzać w przeciwnym kierunku

i wtedy mu przyszło na myśl, że on wprost idzie na tę postać białą, którą ujrzał przy świetle zapałki. — Wyciągnął rękę i krzyknął okropnie; uczuł najwyraźniej, że mu ktoś dłoń uchwycił w zimne szpony. Czasu dłuższego potrzebował, zanim rozpoznał, że była to rękojeść kaganka porzuconego na ziemię. To go trochę opamiętało, zaczął raźniej posuwać się naprzód, ale zaledwie zrobił kilka poruszeń, usłyszał nagle jakiś szum i huk odległy. Huk ten pochodził od strzałów min podziemnych, ale jemu się wtedy zdawało, że takiego odgłosu nigdy jeszcze w kopalni nie słyszał. Przycupnął, zaparł dech w piersiach; był najpewniejszy, że to już poza ścianą coś nieustannie huczy i szumi. Wtedy przypomniał sobie, co mu opowiadał raz górnik stary: o pożarze kopalni.

— Może to pożar wybuchł? ogień chwycił się podpór drewnianych i oto walą się stare stropowiska i z tego taki huk powstaje. Płomień skacze od belki, trzeszczą suche odwieczne drzewa rozłupane na ciężkie trzaski, które płoną jak smolaki, dym gęsty wali kurytarzami i wkrótce pewnie tu wpadnie, by go udusić. Wszystko widział żywo w podnieconej lękiem wyobraźni. Rzucił się naprzód, jak szalony, krwawił sobie kolana, kaleczył ręce, rozbijał głowę o ściany: szedł naprzód, a natrafiwszy na przeszkodę, cofał się, by za chwilę znowu iść w innym, jak mu się zdawało kierunku.

Na raz wyciągnął rękę i struchlał cały: ręka utonęła w próżni; wyciągnął drugą i druga nie mogła znaleźć oparcia: był nad skalistą przepaścią lub nad otworem podziemnego szybu. Chciał się cofnąć, ale doznał takiego zawrotu głowy, że po chwili nie mógł sobie zdać sprawy, w którą stronę ma kręcić, by do przepaści lub szybu nie upaść, gdzie czekała go śmierć pewna.

Zimny pot wystąpił mu na czoło, trwoga przedśmiertna odebrała mu resztę zmysłów. Zdawało mu się, że słyszy jakieś przygłuszone stąpania, jakieś dzikie głosy i siły szatańskie — ani wątpił, że to już idzie zgraja djabłów brodatych, by zawlec jego duszę, co bez spowiedzi schodzi ze świata — prosto do piekła. — Już ich słyszy wyraźniej, coraz bliżej i bliżej; idą gromadą i wkrótce pochwycą go za włosy, które mu strach zjeżył do reszty.

Wtedy odezwała się w nim ostatnim wysiłkiem żądza życia, chciał krzyczeć, co sił stanie, ale głos łamał mu się w gardle.

— Ratunku!.. ludzie!.. — wołał ochrypłym głosem.

— Ratunku!

Tymczasem kroki złych duchów słyszeć się dały coraz bliżej. Już, już stali tuż po nad nim, więc się rzucił gwałtownie, zarył twarzą do ziemi, żeby się bronić do ostatka i nie dać łatwo pochwycić złemu. Ale oto już — już sięga któryś po niego ręką, targa za włosy i krzyczy:

— Wstań!

Kostka nie chce podnieść głowy, lecz szarpią go mocno, więc się odważył bokiem zerknąć i od razu siadł na ziemi:

Rany boskie! to wy?! — zawołał widząc dwóch znajomych górników.

— Jasiek! cóż ty tu robisz?

— Ano... chciałem iść na bliższe drogi... i światło mi zgasło.

Jakżeż ty się mógł tędy puścić? Gdziebyś był zaszedł tą drogą?

— Szedłem raz tylko i pomyliłem.

— Gdzież twój kaganek? Cóż to, nie miałeś zapałek?

— Miałem ino jedną.

— Ino jedną? to z ciebie tęgi górnik!

— A niebałżeś się Jaśku? — spytał śmiejąc się stary górnik.

— Nieee... i czegóż bym się miał bać? — odrzekł Jasiek przeciągle.

— No, to dziękuj Bogu, żeśmy cię tak rychło znaleźli, bo byłbyś tu pewnie albo wpadł do szybu, albo długą postną nowennę odprawiał.

— Skądżeści wy się tu wzięli?

— Przyszliśmy po strzelce odetchnąć świeżem powietrzem, bo tam z dymu zaduch ogromny.

Jasiek już miał wytłomaczone wszystkie huki i szumy, które wśród lęku brał za skutki pożaru. Pewna tylko rzecz była jeszcze mu niejasna. Więc wziął od jednego z górników rozjarzony kaganek i obchodził z wolna ściany komory. Zobaczył znów płaszcz biały, ale teraz zbliżył się do

niego bez lęku i dotknął rękami wapiennego nacieku, który w tem miejscu w takiej łudzącej formie skałę pokrywał.

— Cóżto tam szukasz Jasiek? — pytali go górnicy.

— Rzuciłem tu gdzieś kaganek, a ot jest — rzekł wesoło... — Śmiać mu się teraz chciało z siebie okropnie i z tych duchów brodatych i strachu samego, ze wszystkiego, całem sercem; więc dając wyraz swej radości krzyknął, aż zadudniała komora:

— Do domu bracia! bo tam jadło czeka, a ja mam djabli apetyt!

Zdaje się, że ciebie jeszcze coś tam czeka, — rzekł jeden z towarzyszy.

Wtedy Jasiek wziął się pod boki i zaśpiewał donośnie: Maryś moja, Maryś!

I z tą wesołą piosenką, rozlegającą się szerokiem echem, opuścili komorę, gdzie przed chwilą gościła — śmierć.

O obowiązkach rodziców względem dzieci.

Obowiązek rodziców względem dzieci jest sam w sobie bardzo jasny i prosty: rodzice powinni dzieci swoje kochać, powinni o nich mieć staranie i powinni je starannie wychować. Wszystko to zdaje się być łatwem; ale co ten obowiązek w sobie zawiera? Rodzice powinni dzieci swoje kochać. Bóg, dając rodzicom dzieci, zaszczepił zarazem w sercach rodziców miłość ku dzieciom. Ta miłość nie powinna wszelako wyrodzić się w miękkość i pieszczotliwość. Miłość rodzicielska powinna być miłością rozumną nie ślepą namiętnością, lecz szczerym wyrazem prawdziwego rodzicielskiego uczucia.

Miłość rodzicielska objawia się w troskliwości rodziców o dobro dzieci, a ta troskliwość powinna obejmować tak cielesne, jako też duchowe ich potrzeby. Co do potrzeb cielesnych, to rodzice mają obowiązek starania się o potrzebne dla dzieci pożywienie, o zachowanie ich zdrowia, o należyte rozwijanie się ich sił cielesnych; oraz powinni rodzice zapobiegać wszystkiemu, coby mogło zdrowiu dzieci

i prawidłowemu rozwijaniu się ich sił cielesnych przeszkodzić.

Z tem staraniem o dobro dzieci cielesne powinna łączyć się troskliwość o ich dobro duchowe. Rodzice powinni wszelkiego dokładać starania, aby ich dzieci mogły spełnić zadanie swego życia i osiągnąć właściwe swoje przeznaczenie. To przeznaczenie nie zamyka się jednak w obrębie i w granicach doczesnego żywota: życie doczesne jest tylko czasem próby i przygotowania do wieczności. Ostateczne przeznaczenie i najwyższy cel nasz — to nasze wieczne połączenie się z Bogiem; a zadanie nasze na ziemi polega na tem, abyśmy, wypełniając Najświętszą wolę Boga, coraz więcej stawali się Jemu podobnymi, aby się z Nim w przyszłem życiu na wieki połączyć. Otóż jest wzniosłe zadanie i święty obowiązek rodziców chrześcijańskich: doprowadzić dzieci do wiecznego ich przeznaczenia — a to się dzieje za pomocą wychowania.

Wychować znaczy tyle co prowadzić i usposabiać człowieka do tego, czem być powinien: każdy zaś człowiek powinien być użytecznym i cnotliwym członkiem społeczeństwa ludzkiego, a następnie uczestnikiem królestwa niebieskiego.

Aby ten cel osiągnąć, należy budzić śpiące niejako w duszy dziecięcia zdolności, a skoro się ockną, należycie niemi kierować, a objawiające się skłonności do złego poskramiać. Ten wpływ wychowawczy na zdolności i skłonności dziecka powinien trwać dopóty, dopóki wychowaniec do tego stopnia wszechstronnie się nie rozwinie, aby mógł samodzielnie dążyć do swego celu i przeznaczenia.

Aby zaś wychowanie wyłuszczonemu dopiero zadaniu sprostać i dorastającą młodzież tak usposobić mogło, aby doczesne swoje powołanie wypełnić i wieczny cel swój mogło osiągnąć, powinno to wychowanie być religijne, chrześcijańskie i przejęte ożywiającem tchnieniem wiary św. Religia, która jest niewzruszoną podstawą życia moralnego, powinna być także podstawą całego wychowania. Darmo by się ktoś kusił wychować z dziecka dobrego człowieka, nie wychowawszy z niego dobrego chrześcijanina. Religia jedynie łączy nas z Bogiem i cnocie daje podstawę. Dla człowieka »nie masz w żadnym innym zbawienia«, jeno

w Chrystusie Jezusie! Ktoby więc dzieci nie prowadził do Chrystusa Pana, ten prowadziłby je na manowce i odwodziłby je od ich przeznaczenia.

Wychowanie dzieci powinno się rozpocząć już w najpierwszej ich młodości. »Dzieci — tak mówi św. Bazyli — są jak miękki wosk, któremu można nadać dowolną postać«; a św. Chryzostom powiada: »Dzieci podobne są do młodych drzewek, które można hodować według upodobania, prosto lub krzywo«.

W pierwszej młodości dusza dziecięcia łatwo daje się kształcić, wszelkim dobrym wpływom jest przystępną, a w złych nałogach jeszcze nie zatwardziałą. Wtenczas to, rodzice chrześcijańscy mają jeszcze w ręku niewinne dusze swych dzieci: a jak je wówczas ukształcą, takiemi będą w przyszłości. Skoro dziecko dojdzie do świadomości siebie, powinni natychmiast rozpocząć naukę, pierwsze myśl dziecięcia powinni kierować do Boga.

Jak najwcześniej powinno się dzieci przyzwyczajać doi należytego ładu, aby od młodości przywykły do życia dobrze uporządkowanego; do czułego i delikatnego ich serca przez naukę i ćwiczenia zasiewać należy dobre nasienie i ucinać dzikie wypustki uporu, krnąbrności i nieposłuszeństwa, a naginać wcześnie umysł i duszę dziecięcia pod jarzmo karności chrześcijańskiej.

Jeżeli religia w sercach dzieci wcześnie zapuści korzenie, jeżeli ich wola i skłonności ułożą się według zasad wiary świętej, jeżeli wcześnie zaprawią się do dobrego i je pokochają, natenczas będą mogły skutecznie odpierać różnorodne niebezpieczeństwa późniejszego życia. A gdyby nawet takie dziecko, zaślepione namiętnościami albo złym przykładem zwiedzione, w późniejszym wieku miało zboczyć z prawej drogi, to najczęściej łatwo znowu nią powraca; uśpione uczucia religijne i wspomnienia niewinnej młodości budzą się przy nadarzającej się sposobności, przypominają mu się proste, a serdeczne modlitwy, których się na łonie matki nauczyło, odżywają w duszy napomnienia i przestrogi, które słyszało z ust ojca, przebudza się dawne zamiłowanie cnoty, a człowiek ocknie się z letargu grzechowego, powróci na prawą drogę i znajdzie przebaczenie i pokój.

Jeżeli zaś rodzice dzieci swoje w pierwszej młodości pod względem religijnym zaniedbają, jeżeli ich do Boga nie prowadzą, do dobrego nic zachęcają, a na ich wady i błędy zamykają oczy, natenczas późniejsze usiłowania około religijnego wychowania dzieci albo zupełnie okażą się daremnemi, albo mały tylko skutek przyniosą.

Jeżeli rodzice spokojnie na to patrzą, jak młodociane serca ich dziatek zarastają cierniem i chwastem, natenczas dobre nasienie, jakie później na tej roli wysieją, albo wcale nie zejdzie, albo wszedłszy, przyduszone nieszczęsnem zielskiem wkrótce zmarnieje.

Kto nieroztropnie pobłaża wadom swoim dzieci, łudząc się nadzieją, że te wady w dojrzalszym wieku same z siebie ustąpią, ten w tej nadziei strasznie zostanie zawiedzionym; albowiem te wady i błędy, którym pozwala spokojnie krzewić się w duszy dziecięcia, stają się dla niego z czasem zwyczajem i nałogiem, stają się niejako drugą jego naturą, która z czasem zagłusza nawet głos sumienia. »Młodzieniec wedle drogi swej i nie odstąpi od niej«, mówi Mędrzec starozakonny.

Jakże często zdarza się słyszeć skargi rodziców na zepsucie dorastających dzieci: ale czy tacy rodzice nie są często sami winni tego zepsucia przez zaniedbanie należytego wychowania dzieci od pierwszych ich młodości? Do takich to rodziców odnoszą się słowa św. Chryzostoma: »Skarżysz się — mówi — na uporczywość twego syna? Gdy był jeszcze młodziutkim i łatwo go można było okiełzać, wtenczas powinieneś był starannie ująć go w karby, do wypełnienia obowiązków zaprawiać, a wady duszy jego tępić. Gdy wola serca jego była jeszcze do obrobienia łatwą, trzeba było ciernie i chwasty wyrwać, bo w młodocianym wieku łatwiej je można było wyplenić — a namiętności twego syna nie byłyby się dla twej opieszałości stały dzisiaj tak wielkiemi i niepokonanemi«.

Nawrócony rzezimieszek.

Działo się to w Ameryce. »Zaleca się ostrożność przed rzezimieszkami« powtórzył głośno stary jegomość, czytając plakat przy wejściu do wagonu.

— O Boże! jakież to smutne teraz czasy, że w krajach chrześcijańskich potrzeba takiego ostrzeżenia — dodał z westchnieniem.

— O, tak, łaskawy panie — odezwał się siedzący obok niego młodzieniec. Trzeba zawsze być ostrożnym, gdyż i wśród nas mógłby się znaleść jaki rzezimieszek. Znam ja te wszystkie sztuczki, gdyż sam należałem kiedyś do grona tych niescząśliwych ludzi,

Tak panie łaskawy i ja byłem złodziejem.

— Na Boga? czy to być może? — zawołał stary jegomość z przerażeniem, podniósłszy się z siedzenia.

— Obecnie jestem człowiekiem powszechnie szanowanym — zapewniam pana dobrodzieja, bardzo szanowanym.

Zapytaj pan kogo chcesz, o Jim Picka, a każdy ci to powie. Urodziłem się pośród złodzie i rzemiosła tego nauczyłem się sam przez się, tak, że już w dziesiątym roku życia wypróżniałem cudze kieszenie. Nie lękaj się pan o swoją kieszeń, gdyż już od dawna nawróciłem się zupełnie. Teraz mógłbyś mi pan powierzyć swoją kasę, nie licząc jej wcale. Słowem byłem skończonym złodziejem — ciągnął dalej swe opowiadanie młodzieniec — i byłbym może aż do dnia dzisiejszego nim pozostał, gdyby nie wypadek, który mnie spotkał na stacyi kolejowej w N., kiedy czatowałem na zdobycz z zamiarem skradzenia torby podróżnej jakiejś nieoględnej damie. Byłbym się ostatecznie zadowolił parasolem lub chustką od nosa, upuszczoną przypakiem. Osoby podróżujące nocną porą, z obawy, aby się nie spóźnić, zazwyczaj mniej zważają na swoje pakunki, jak w innej porze.

Gdym jeszcze był nikczemnym grzesznikiem, niestety, ze wstydem wyznać to muszę, korzystałem z kazdej sposobności, aby choć cokolwiek sobie przywłaszczyć. Dziś za żadne skarby świata nie czyniłbym tego.

Jak to już wyżej wspomniałem, wietrzyłem w około dworca, gdy nagle zjawia się jakiś pan, trzymający w ręku kosz szczególnego kształtu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie widziałem; był zamknięty na kłódkę i obwiązany sznurem. Niezajomy postawił kosz na uboczu i szukając czegoś w pugilaresie, rozmawiał z drugim, jak się zdawało, znajomym sobie jegomością.

— Znalazłem nareszcie — mówił — lecz zapewniam pana, że nadzwyczaj drogo opłaciłem. Musiałem jednakże to uczynić, gdyż inaczej zbiór mój nie byłby zupełnym. Ale dumny jestem z tej zdobyczy, i dla tego sam ją przywożę. O, do licha! — zawołał już tylko pięć minut czasu, a ja nie mam jeszcze biletu — i po tych słowach począł się cisnąć do okna.

Towarzysz owego pana spoglądał chwilę na kosz poczem oddalił się zwolna. Teraz nadeszła na mnie pora działania. Przyczogałem się do kosza, chwyciłem go i spiesznie pobiegłem w odwrotnym kierunku, nikt tego nie zauważył. Szedłem sobie zwolna ze stacyi pomiędzy drzewami, z zamiarem wydobycia kosztowności znajdujących się w koszu, a kosz chciałem rzucić.

Wyobrażałem sobie, że musi tam być coś nadzwyczaj kosztownego, lecz co? — o tem nie miałem pojęcia. Odwiązałem sznur i otworzyłem kłódkę; uchyliwszy wieko, posłyszałem jakiś szmer, odwróciłem głowę nadsłuchując, coby to było.

Nie widząc żadngo niebezpieczeństwa dla siebie, podniosłem całe wieko i spojrzałem do środka; atoli któż opisze moje zdumienie: kosz był próżny, nic w nim nie było.

— Cóż u licha zawołałem, dodając przytem inne jeszcze wyrazy, których dziś powtórzyć nie mogę, lecz wtedy byłem niepoprawnym grzesznikiem, co to znaczy? próżny kosz? Co chciał przez to powiedzieć ten jegomość, gdy mówił o wysokiej cenie?

Po co napróżno naraziłem się na niebezpieczeństwo? zapytałem sam siebie, sądząc, że policya tuż za mną, gdy nagle silne jakieś ramię opasało moje biodra, a kiedy chciałem otrząść się z tego, tem silniej mnie cisnęło. Co to było?

Tak panie, dobrodzieju, myślałem wówczas, że już wybiła ostatnia moja godzina, gdyż przekonałem się, że coś gorszego niż ramię policyi trzymało mnie w swych objęciach.

Był to olbrzymi wąż »Boa Constrictor«, jakie zwykle w menażeryach widzimy; teraz domyślałem się, że kosz należał do właściciela menażeryi. A zatem skradłem kosz z wężem, który się wymknął, gdy uchyliłem wieko i odwróciłem głowę.

O Panie! nie zapomnę tego nigdy, wąż cisnął mnie coraz silniej tak, że tchu mi już nie stało, lecz całą siłą woli zdołałem zakrzyknąć.

I czy pan uwierzysz, kto przybył mi na pomoc?

Oto właściciel kosza, który szukał swego węża.

— Boże zlituj się! — zawołał, patrząc na mnie potem dodał: Kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada. Ukradłeś kosz, przyjacielu, a z tego wyszedł mściciel, który cię pochwycił. Nie poruszaj się, nie mów ani słowa, jeżeli życie ci miłe. Jeden tylko jest jeszcze dla ciebie ratunek.

— Przez litość ratuj mnie, pan, gdyż się uduszę — szeptałem z cicha błagalnie. Niezajomy wydobył z kieszeni butelkę z mlekiem, z drugiej zaś składane naczynie, a napełniwszy je, powiedział;

— Jeżeli wąż mlekiem nie da się znęcić, natenczas poleć swą duszę Bogu młodzieńcze.

Była to chwila okropna, powtarzam.

Zdawało mi się, że już już jestem zgubiony, gdyż wąż opasywał mnie coraz to silniej, po chwili jednakże wyciągnął głowę w stronę mleka, a ja uczułem, że oddycham swobodniej — po chwili widziałem go zwiniętego nad naczyniem z mlekiem. Nie miałem chęci obserwować go dłużej i oddaliłem się spiesznie.

Wypadek ten jednakże był dla mnie nauką, że porzuciłem nikczemny sposób życia, jaki dotąd prowadziłem. Atoli zbliża się kres mej podróży, tutaj wysiędę; żegnam pana i raz jeszcze zapewniam, że odtąd jestem człowiekiem szanowanym.

Polecam się łaskawej pamięci!

— Dziwna historya, mówił, po wyjściu młodzieńca stary jegomość, bardzo dziwna. Zdaje mi się, że obecnie stał się sumiennym człowiekiem.

Po chwili włożył rękę do kieszeni, szukając chustki do nosa, lecz ta znikła. Tak samo i woreczek z pieniądzmi — wszystko to znikło wraz z pełnym sumienności młodzieńcem!

Jak chronić się od piorunów?

Przedewszystkiem pamiętać trzeba, że piorun uderza najczęściej: 1) w przedmioty wysokie, zwłaszcza ostro zakończone, 2) w przedmioty metalowe oraz 3) przelatuje często tędy, gdzie są przeciągi.

Jeżeli więc podczas burzy jesteśmy w domu, na którym niema piorunochronu, mamy:

1) Szczelnie zamykać okna, drzwi, wentylatory, lufty, szpary zaś w oknach i ścianach miec zawsze pozatykane, a to dla uniknięcia przciągu.

2) Unikać zbliżania się do ścian, gdyż piorun, uderzając w nasz dom, może po ścianie spłynąć i na nas.

Jeżeli burza nas zaskoczy na otwartem powietrzu, powinniśmy:

1) Trzymać się zdala od drzew, zwłaszcza wysokich, czy w lesie, czy w polu, pamiętając, że chroniąc się pod drzewami przed deszczem, narażamy się na stokroć większe niebezpieczeństwo — nagłej śmierci.

2) Starać się nie trzymać w ręku i nie mieć przy sobie większych przedmiotów metalowych, narzędzi żelazuych i t. p.

3) Nie otwierać parasola, który wznosząc się nad nami i mając cienki koniec, często metalowy, może przyciągać pioruny.

4) Unikać miejsc wysokich, wzgórz.

5) W ogóle starać się nie wysuwać się wysoko ponad ziemię.

6) Unikać szybkiego ruchu, biegu, jazdy, bo to powoduje ruch powietrza i przeciąg.

Najlepiej jest, jeżeli można, położyć się lub usiąść na ziemi, dolinie; a w celu uchronienia się przed zmoknięciem okryć się płaszczem ceratowym, kilimkiem, derką.

Nie trzeba też w czasie burzy uderzać w dzwony.

Ocean i jego bogactwa.

Oceany nigdy nie znajdują się w zupełnym spokoju, bo gdyby stanęły nieruchomie, wnet zamarłoby w nich życie i pokryłyby się martwemi rybami i trupami zwierząt wodnych. Dla istot tych bowiem ruch wody niemniej jest potrzeby, jak obieg krwi człowiekowi, jak wiatry atmosferze; prądy bowiem i poruszenia mieszając wody, równają ich temperaturę, albo ciepło pożądane przynoszą.

Od biegunów wody, kierując się ku równikowi, unoszą góry lodowe, które powoli od ciepła słonecznego topnieją. Od równika znów ku biegunom płyną prądu ciepłe, które zbliżając się do obszarów lodowych, zwolna się ochładzają. Wywierają tym sposobem ogromny wpływ na klimat ziemi.

Na szczególną uwagę zasługuje Golfstrom, prąd ciepły, płynący ukosem przez ocean Atlantycki. Golfstrom nazwany chwałą oceanu, jest to masa wody tysiące mil długa, która w postaci cudnie niebieskiej rzeki przepływa w pośrodku wód oceanu.

Prąd ten ogrzany promieniami zwrotnikowego słońca, za pomocą fal swoich zanosi ciepło północno-zachodnim krajom Europy i wywiera na nie wpływ dobroczynny, bez którego te kraje byłyby bardzo zimne i ludzie nie mogliby tam mieszkać.

Najważniejszem zjawiskiem morskiem i stałym ruchem morza jest jego przypływ, powtarzający się dwa razy na dobę. W ciągu 6 godzin fale oddalają się od brzegu, w ciągu zaś następnych 6 godzin przybliżają się znów, czyli powracają — i tak trwa bezustannie. To poruszenie jest skutkiem przyciągającej siły księżyca, a jego wysokość bywa rozmaita, — to wyższa, to niższa, a odpowiada dniom pełni i nowiu księżyca. Prawidłowo odbywa się tylko

wówczas, gdy morze jest zupełnie spokojne. W czasie burzliwych wiatrów przypływy bywają bardzo niebezpieczne dla mieszkańców wybrzeży, bo pędzą całe masy wody morskiej, która wtargnąwszy na ląd wszystko zalewa i niszczy. Miasta i wsie znikają wówczas pod wodą, a setki tysięcy osób giną przy tych strasznych przypływach. Ludzie w krajach nadmorskich starają się silnemi tamami zabezpieczyć, ale i te często nie mogą uchronić od nieszczęścia.

Głębia oceanu, jakkolwiek straszna i niebezpieczna posiada jednak dla ludzi ogromne i niewyczerpane bogactwa, posiada bowiem móstwo najrozmaitszych istot żyjących, począwszy od olbrzymów do mikroskopijnie małych. Nie jest również pozbawiona roślinności chociaż tam warunki bytu są wręcz odmienne, jak na lądzie, albo też w wodach słodkich.

W głębi oceanu temperatura jest prawie jednakowa wszędzie, jest tam zimno, rzec można lodowate zimno, bo na głębokości tysiąc metrów nawet pod równikiem niema więcej, jak 4 stopnie ciepła. W niektórych miejscach temperatura spada niżej zera; nie zamarza jednak nigdy ta głębina, bo woda słona dłużej może się utrzymać w stanie płynnym, niż słodka.

Światło również nie przenika tych otchłani bezmiernych; do 40 mniej więcej metrów pod wodą jest jasno, do 400 panuje półcień, coraz to się zwiększający, dalej już zupełna ciemność, wieczna noc. To też rośliny, które bez światła obejść się nie mogą, żyją jedynie w niewielkiej głębokości. Odznaczają się one ogromną rozmaitością rozmiarów, kształtów i koloru. Znajdują się olbrzymy, dochodzące 300 metrów długości, a są i tak drobne, że ich gołem okiem dopatrzeć trudno. Mają kształt drzew, krzewów, kulek, nici dłuższych, lub krótszych i t. d. Jedne są przyrośnięte do dna i tworzą lasy i gaje dziwacznych kształtów i różnych kolorów, inne unoszą się swobodnie w wodzie. Barwę mają rozmaitą: zieloną, brunatną, czerwoną, szarą i żółtą.

Co do istot żyjących, to zwierzęta morskie są najrozmaitsze, zastosowane do miejscowych warunków. W górnych warswach oceanu żyją zwierzęta drapieżne i roślinożerne, głębiej już tylko takie, które się żywią zwierzętami,

bo roślin niema, a jeszcze głębiej tylko takie, co mogą istnieć w zupełnej ciemności i pod ciśnieniem olbrzymiej masy wody. Tam już żaden promyk słońca dostać się nie może, panuje grobowa cisza, bo niema żadnych prądów, a ciężar niezmiernej ilości wody jest przerażająco wielki, tak wielki, jakiego my sobie sami wyobrazić nie potrafimy. A jednak i w tych strasznych warunkach żyje mnóstwo najrozmaitszych stworzeń i głębia morska wcale nie jest martwą pustynią, jak ją sobie niegdyś przedstawiano.

Choć morze przedwszystkiem jest królestwem ryb, mnóstwo jednak tam żyje zwierzą pletwonogich. Z tych najważniejsze dla plemion północnych, gdyż stanowią główne ich pożywienie, są foki, albo psy morskie, tak nazwane od kształtu głowy i pyska; morsy, odznaczające się potężnemi kłami, które są niebezpieczne nawet dla ludzi, słonie morskie dochodzące 30 stóp długości, niedźwiedzie morskie tak nazwane od futra i kształtu głowy, lwy morskie nazwane od grzywy, przechodzące niedźwiedzi wielkością, ale od nich łagodniejsze. Więcej już do ryb podobne syreny, stanowią przejście od fok do waleni, czyli wielorybów.

Wieloryby są to największe na kuli ziemskiej stworzenia, zadziwiają swoim ogonem. Żyją w wodzie i są podobne do ryby, ale oddychają płucami, mają krew ciepłą, a pierwszem ich pożywieniem jest mleko matki, dlatego je też zaliczają do zwierząt ssączych. Mają 60 do 70 stóp długości, a dla ogromu swego podobne są bardziej do wyspy pływającej, niż do zwierzęcia. Mają skórę najczęściej czarną, do której przyczepia się nieraz dużo muszli, korali i porostów morskich, co ją czyni tembardziej do wyspy podobną. W olbrzymiej jego paszczy mogłoby się bezpiecznie czółno z ludźmi pomieścić. A jednak nie jest on strasznym drapieżcą; żywi się tylko drobnemi zwierzętami morskiemi, bo zębów nie posiada wcale, a na ich miejsce ma tylko listwy fiszbinowe. Kolos ten wagi 1.400 cetnarów, dostarczyć może 600 cetnarów słoniny, z której wytapia się 480 cetnarów tranu wartości około 1.500 koron. Fiszbin, którego dostarcza około 30 cetnarów, wynosi 3.600 koron wartości. Tym sposobem jeden wieloryb daje przeszło 5.000

koron zysku, polowanie więc na wieloryby stanowi bardzo korzystne zajęcie dla północnych żeglarskich narodów.

(Dokończenie nastąpi).

Król i osioł.

Jakiś niezajomy był na polowaniu w dolinie Aosty we Włoszech, gdzie go nie znano.

Pewnego razu stanął nad brzegiem bystrego strumienia.

Nie wiedząc, jak przebyć, spostrzegł pracującego wieśniaka.

Zawołał go więc i zażądał, by go za dobrą zapłatę przeniósł na plecach.

Wieśniak spojrzał na rwiącą wodę i na otyłą postać nieznajomego i zawahał się. Zobaczywszy jednak, że mu nieznajomy ofiaruje złotą pięciofrankówkę, wziął się do roboty.

Ostrzegł jednak nieznajomego, by się na plecach nie ruszał, bo w takim razie upadną do wody.

Z początku szło dobrze; na środku strumienia obejrzał się jednak nieznajomy, czy psy jego idą za nim. Wieśniak o mało co, źe nie upadł i gniewny, że go nieznajomy nie słuchał — zawołał gniewliwie: »Somaro (ośle)«.

«Tyś somaro« — rzekł nieznajomy — »bo ja siedzę na tobie«.

Gdy stanęli szczęśliwie na brzegu, wyrzucał wieśniak nieznajomemu, że go nie słucha.

»Gybym się był obalił« — rzekł, mógłbym sobie na skałach połamać ręce i nogi«.

»Toć i mnie byłoby to spotkało« — odrzekł nieznajomy.

»Co tam« — wtrącił wieśniak — wy bogaci, i nie zostawilibyście waszej famili w nędzy.

Ja co innego, ja muszę wyżywić matkę, żonę i troje dzieci, wszyscy pracujemy ciężko, ale zaledwie zarabiamy na życie.

»Za te pięć franków będziecie się mogli przez kilka dni najeść«.

»Oho! ho! te pięć franków pójdą do drugich dwugich dwudziestu, które mam w skrzyni schowane«.

»A to na co?«

»Jak będę miał pięćdziesiąt, kupię sobie osła«.

»Osła?« — zapytał nieznajomy, śmiejąc się, »a czemu nie szkapę?«

»Szkapę... miłościwy Boże!... gdybym miał szkapę, byłbym bogaty!«

»Jak to bogaty?«

»Gdybym miał dobrą szkapę, woziłbym do miasta warzywa i mleko, usługiwał nią gościom letnim, O, gdyby ja mógł mieć szkapę«.

Nieznajomy porozmawiał z nim nieco, nie dał mu jednak więcej pieniędzy, wreszcie pożegnał go i poszedł. Wieśniak wrócił na drugą stronę i pracował do wieczora.

Wieczorem wracał do domu, mówiąc »Anioł Pański«, bo właśnie odzywał się dzwonek z kościółka. Skręcił właśnie na rogu ulicy i przerwał modlitwę. Przed mieszkaniem zobaczył bowiem całą swoją rodzinę z rozpromienionemi twarzami. Za drugą ścianą domu stała przed oknem szkapa.

»Co to ma znaczyć?« — zapytał zdziwiony wieśniak.

«Król Wiktor Emanuel podarował tę szkapę, a jeszcze przysłał 50 nowych skudów na budowę stajni, zakupno półszorów i wozu».

»Jakto król Emanuel?« — zapytał wieśniak.

»Przecieżeś go dziś przeniósł na plecach przez strumień« — odpowieziała żona.

»A ja osioł« — zawołał wieśniak chwytając się za głowę »nazwałem go osłem«.

Nie długo jednak rozpaczał, kupił co mu było potrzeba, i zaczął się mieć lepiej. Przy pierwszej sposobności pojechał na darowanym mu koniu do Turynu, oczekiwał króla przed pałacem, a gdy się tenże pokazał, skoczył z konia, a zdjąwszy kapelusz rzekł: »Stokrotne dzięki, Wasza królewska Mość! Cofam słowo, to ja byłem osłem, że Waszej królewskiej Mości nie poznałem«.

Czy sól jest dla zwierząt potrzebną?

Pośród różnorodnego pożywienia ludzi i zwierząt dwie grupy rozróżniać należy: pokarmy i używki. Pierwsze są dla trzymania organizmu bezwzględnie konieczne, z nich uzupełnia on zużyte części; pokarmy są mniej więcej tem, czem przy maszynie paliwo i części rezerwowe, któremi zniszczone zastępujemy.

Jeżeli pozostaniemy przy tem porównaniu, to używki odpowiadają mniej więcej smarowidłu przy maszynie. Nie jest ono bezwzględnie koniecznem, ale ułatwia bieg maszyny. Używki oddziałują zazwyczaj jedynie podrażniająco na organizm, po większej części za pomocą nerwów. Mogą one doprowadzić do zaburzenia w całym organiźmie, jeżeli dajemy ich za wiele, a szczególnie, jeżeli dajemy używki podrażniające, bez równoczesnego podania pożywienia. Przykład najlepszy daje nam alkohol.

Jeżeli owies jest pokarmem, to bat jest używką. Brzmi to bardzo dziwnie, ale szczególnie właśnie przy utrzymaniu konia, należy jak najwyraźniej zaznaczyć, że bat i osrogi nie wydobędą sił ze źle karmionego konia.

Czy sól jest pokarmem, czy używką? Czy sól jest potrzebną dla zwierząt, czyli też mogą się bez niej obyć?

Na pytanie to nie łatwo odpowiedzieć, ale jest ono tak ważnem, szczególniej na zdrowotnotność zwierząt, że warto głębiej nad niem zastanowić się.

Pokarmy prowadzone do organizmu, jak n. p. owies, mąka, rozkładają się w nim, wskutek rozładu tego wywięzuje siła, którą zwierzę na korzyść organizmu swego zużywa. Przy rozkładzie jednak soli, a mianowicie soli kuchennej, na pierwiastki, z których powstała, to jest na sód i na chlor, nie wywiązuje się ani siła, ani ciepło. Możnaby więc sądzić, że sól nie jest pokarmem.

Sąd byłby to zbyt pospieszny i fałszywy. Zwierzęta roślinożerne spożywają w paszy wielkie ilości soli potasowych — a każdy gospodarz wie, że musi dodawać je roli w formie nawozu sztucznego. W organizmie zwierzęcym, a mianowicie w krwi krążą jednak sole sodowe,

przedewszystkiem w formie soli kuchennej, skoro tylko w organizmie węglany potasu spożyte z paszą zetkną się z solą kuchenną, powstają węglany sodu, dla organizmu bezpożyteczne, które z moczem odchodzą.

Zwierzęta więc roślinożerne potrzebują koniecznie soli kuchennej. Z tego co powyżej powiedzieliśmy wynika także, dlaczego właśnie roślinożerne o tyle więcej soli potrzebują niż misiężorne, u których sól znajdująca się w organizmie nie podlega ciągłemu rozkładowi.

Więcej jeszcze jest powodów, dla których sól jest zwierzętom potrzebną. Do strawienia każdego pokarmu potrzebnym jest sok żołądkowy, a ten zawiera znaczną ilość kwasu solnego, który organizm jedynie z soli kuchennej wytworzyć może.

S ó l w i ę c j e s t p o k a r m e m. A teraz zbadać należy, czy pokarm ten zawiera każda pasza w dostatecznych ilościach, czy też osobno dodawać go musimy. Zależy to nietylko od paszy, ale od roli, na której pasza ta wyrosła. Siano łączne zawiera 0,4, koniczyna 0,34 procent solu kuchennej, podczas gdy owies tylko 0,003, a ziemniaki 0,002 procent. Wszystkie strączkowe są również w sól ubogie.

Jeżeli więc bydło dostaje paszę, w której mało jest soli, trze jej dodać koniecznie.

Nie potrzebujemy zupełnie obliczać, ile w każdym odpasie soli się znajduje, bo posypawszy trochę soli w koryto, zobaczymy, czy zwierzęta bardzo jej łakną lub nie.

W paszy, którą zwykle koniom podajemy, to jest w sianie, owsie i sieczce, znajduje się soli poddostatkiem. Ale są konie które potrzebują więcej soli i tylko przy dodaniu jej dobrze wyglądają, a w braku jej chudną, słabe są i szukają soli, czy to liżąc ściany, czy też zjadając słomę przesiąkniętą uryną. Na takich koniach trzeba robić próbę o ile dodatek soli na nie dobrze wpłynie.

Inaczej zupełnie jak u zwierząt roboczych ma się sprawa tu u bydląt przeznaczonych na tuczenie. U bydła przeznaczonego na tuczenie, wskutek paszy skierowenej na wytworzenie li tylko mięsa i tłuszczu, następuje osła-

bienie procesu trawienia, któremu przez dodatek soli zapobiedz możemy.

To samo i przy krowach dojnych. Jeżeli proces trawienia nie wydaje nam się normalnym, należy dać nieco soli. Jeżeli jednak krowa dobry ma apetyt i dostaje wodnistą paszę, sól jest zbyteczną, bo pobudza pragnienie, a zbytnie ilości wody ujemnieby wpływały na jakość mleka.

Każde zwierzę im starsze, tem gorzej trawi, a tem samem więcej soli potrzebuje. Najwięcej jednak potrzeba jej owcom, szczególniej jeżeli trzymamy je na stajni. Tak samo i koniom zaleca się dawać sól; pomaga to trawieniu, a koń przy soli zawsze jest rzeźwiejszym.

Zazwyczaj jednak sól dają bydłu w zbyt wielkich ilościach. Wystarcza najzupełniej — stosownie do wieku i wielkości zwięrzęcia — na konia 1 do 2 żyk stołowych, czyli 15 do 30 gramów na dzień, na krowę 20 do 50 gramów, na tuczną sztukę 50 do 80 gramów, na owcę 3 do 8 gramów, a na świnię 1 do 15 gramów na dzień. Najpraktyczniej zakładać za drabinę sól kamienną, którą zwierzę liże wedle potrzeby; jedynie przy bydle na tucz przezaczonem, gdzie chodzi o podrażnienie organów trawienia, trzeba ją zadawać z obrokiem.

Lüppschütz w Królewcu chciał stwierdzić wpływ więszych dawek soli na mleczność i dawał krowom 50 gramów dziennie. Ta większa dawka spowodowała większe pragnienie i picie znacznej ilości wody, co wywołało zaburzenia w trawieniu, objawiając się rzadkim kałem. Skutkiem tego zmniejszyła się także bardzo prędko mleczność o 0,385 kgr. mleka na dzień. Najlepiej doiły krowy przy dziennej dawce 25 gr.

Zbyt wielkie dawki soli wywołują rozwolnienie, które może zamienić się w niebezpieczną chorobę.

Różne rady pożyteczne.

Skaleczenie. Najczęściej trafiają się skaleczenia. Przy skaleczeniu tępym przedmiotem, jak młotkiem, kamie-

niem, polanem i t. p., gdyby pokazał się guz krwawy lub siniak, nakłada się mokry okład z zimnej wody, z lodu lub kwaśnej wody. Lód daje się do ściereczki, ale na ciało kładzie zwinięty ręcznik, a potem dopiero lód, by przez silne a raptowne oziębienie nie sprowadzić obumarcia skóry.

Przy złamaniu kości powinno się przedewszystkiem uszkodzoną część ciała ułożyć zupełnie spokojnie przez nałożenie opatrunku z twardym podkładem z drzewa albo tektury (papendeklu). Gdy tego niema, układa się złamaną część ciała na twardej poduszce. Dla uśmierzenia bólu daje się na miejsce złamane okład z zimnej wody lub lodu.

Złamanie kości poznaje się po wielkim bólu w miejscu złamania, chory nie może poruszać złamanym członkiem. Poznać można też i po trzeszczeniu złamanej kości, gdy trze jedna o drugą.

Przy wszelkich skaleczeniach, przy których są rany otwarte i krwawiące, powinno się bardzo uważać, aby nie dotykać samej rany palcami albo narzędziami nieczystemi. Otoczenie rany należy wymyć wodą i mydłem, włosy zgolić (jeżeli rana jest na głowie lub piersiach), dopiero potem nakryć ranę sterylizowaną (odkażoną) gazą z apteki, ale nie wolno dotykać się jej palcami, zwłaszcza w miejscach, które przychodzą wprost na ranę. Na gazę kładzie się czystą watę i to wszystko razem zaraz obwiązuje się bandażem.

Bydło w lecie. Bydło mleczne i tuczne należy w dnie gorące wypędzać na pastwisko tylko rychło z rana i pod wieczór, gdyż upał południowy jest dla nich szkodliwy. Gdy pastwisko jest daleko od domu, należy urządzić na niem miejsca ocienione. Gdy brak na nich dobrej wody, pamiętać o wykopaniu studni. W oborach utrzymywać przewiew, który zarazem wypędza muchy.

Od czerwca do września należy pilnie oczyszczać bydło zgrzebłem i szczotką. W tym czasie bowiem gzy bydlęce składają w sierść jaja, a wylęgłe z nich wkrótce poczwarki wpijają się w skórę i tam osiadają w guzach. Gdy takich guzów dużo, to bydlę cierpi dużo na zdrowiu. a i skóra w razie zabicia bydlęcia jest mniej warta,

Przez czyszczenie zgrzebłem usuwa się jajka, zanim wylęgnąć się zdołają. Oczyszczanie bydła wogóle jest korzystne, o tem chyba przypominać nie trzeba.

Mleko w porze letniej ulega szybkiemu kiśnieniu, to zaś wpływa ujemnie na ilość uzyskiwanej śmietany. Chcąc temu przeszkodzić, trzeba mleko po wydojeniu i przecedzeniu zlać zaraz do naczynia blaszanego i wsadzić do zimnej wody. Dopiero po należytem ochłodzeniu można je odstawić do podsiadania.

Podsiadanie ma się odbywać w miejscu chłodnem. a więc w piwnicy lub komórce wystawionej ku północy i ocienionej drzewami. Trzeba dbać o to, by schowanie dla mleka było suche, wolne od much i nie było w niem stęchłego zapachu.

Mleko wieczorne, przeznaczone do rannego gotowania najlepiej będzie zagotować już wieczorem i przez noc przetrzymywać w chłodzie. Rzecz jasna, że wszelkie naczynia mleczasrkie powinny być należycie parzone i myte, bo w szarach i porach naczyń zagnieżdżają się grzybki, które bywają bezpośrednim powodem kiśnienia.

Od piorunów na wsi na otwartem polu niebezpieczeństwo rażenia jest większe, niż wśród lasu, lecz i tu niemało zależy od rodzaju otaczających drzew, jako nierównych przewodników elektryczności. Ztąd powsał przepis następujący:

Dębów unikaj, od sosien uciekaj;
Skryj się po bukiem i gromy przeczekaj.

Niebezpiecznym wrogiem pszczół jest szerszeń. Chwyta on pszczoły siedzące na kwiatach w polu, albo też napada na obciążone miodem, powracające z roboty, a nawet wciska się do uli i rabuje pszczoły i miód.

Rzadko kiedy udaje się pszczole przed pościgiem szerszenia uciec. Nawet cała gromada pszczół w ulu nie jest w możności ubezwładnić swego wroga, żądła bowiem pszczół odbijają od twardego pancerza szerszenia. Przeciwnie szerszeń z łatwością przebija swoją słabą ofiarę i z jej pęcherzyka zawartość miodu wysysa.

Dla tego należy szerszenie tępić za pomocą niszczenia ich gniazd. Dobrym środkiem jest także wyławianie

ich w zawieszone w blizkości pasieki butelki długoszyjne, wypełnione blizko do połowy wodą z przymieszką miodu.

Środek przeciw zarazie pyska i racic. Pomiędzy tyloma środkami na tę tak rozpowszechnioną zarazę. polecają teraz jako niezawodny i szybko działający środek odwar z miodu i tymianku, wynaleziony przez pewnego weterynarza w L'Olse we Francyi Wystarcza natarcie ty n odwarem przez 3 dni, a ranki się zagoją w pysku i bydło żre smacznie; ranki wymion tak samo się leczy. Bydło w zarażonej stajni, ale jeszcze nie zarażone, opatrzone w ten sposób, jest zapewnione przed zarazą.

Rozmaitości.

Praca serca.

Niemieckie czasopismo lekarskie *Medizinische Klinik* daje w ostatnim swym numerze pouczający i wymowny obraz pracy, którą wykonuje serce.

Wiadomo, że serce można porównać z pompą ssąco-tłoczoną, które w lewej swej komórce może wytworzyć ciśnienie. dochodzące 200 milimetrów. Ciśnienie to wtłacza krew do tętnic i rozprowadza ją po całem ciele.

Serce „uderza" mniej więcej 70 razy na minutę, więc 4.200 razy na godzinę, 10.800 razy na dobę, a 36 milionów 792 tysięcy razy na rok. Gdy jako normalny czas trwania życia ludzkiego przyjmujemy 70 lat, to w tym czasie serce wykonało nie mniej niż dwa i pół miliarda skurczów.

Przeciętnie wtłacza serce jednym skurczem do tętnic 100 gramów krwi, a więc 7 litrów na minutę, 420 litrów na godzinę, a 10 ton na dobę. Mały ten organ o wysokości 15 centymetrów, a szerokości 10 centymetrów wykonuje zatem codziennie pracę, jaka byłaby potrzebna dla podniesienia 26 i pół tony na wysokość jednego metra, albo cetnar na wysokość 530 metrów.

Ilość krwi poruszanej przez serce wynosi 250 tysięcy litrów. Ponieważ zupełny obieg całej masy krwi w ciele ludzkiem trwa 24 sekund, przeto krew przebywa drogę swą 3.600 razy dziennie, czyli 1 i pół miliona razy rocznie.

Z tego można zrozumieć, na jak silne tarcie narażony jest cały system krwionośny i jak wielkiej wytrzymałości mięśnia sercowego potrzeba, by mógł sprostać takiej pracy.

Długości drogi, którą krew w obrębie ciała przebywa, nie da się dokładnie określić. Przyjmując jednak tylko 3 metry jako długość najmniejszą, to krew w przeciągu doby przebiega 10·5 kilometrów, a w przeciągu roku więcej niż 275 tysięcy kilometrów. Po 70 latach droga odbyta przez krew w naszem ciele wynosiłaby 19 milionów 275 tysięcy kilometrów, czyli sześć razy tyle, ile wynosi obrót naszej ziemi.

Redaktor w raju.

Redaktor co na ziemi skończył na suchoty. — Późną nocą do bramy raju puka złotej. — Otwierając mu wrota Piotr święty, łaskawie — Pyta, czyli do raju wnijść czuje się w prawie?

Nie, odrzekł zapytany, ciążą na mnie grzechy — i czyścowej szukałem właśnie pilnie wiechy. — Lecz nie znając dokładnie szlaków Mlecznej Drogi, — Przypadkiem aż tu w rajskie zapędziłem progi!

Duszyczko, rzekł Piotr święty, wcześnie z życia zmykasz — Lecz czem byłeś na świecie? — Ja jestem dziennikarz! — Tedy choć dziecino — Sto lat męki, — tej służby płaciłeś godziną. — A żeś służył tam lata, więc choć grzechów siła, — jeszcze by ci Niebieska Furta winną była.

Instynkt konia.

Doktor Bougon przytacza w książce przez siebie napisanej kilka zajmujących przykładów instynktu konia, na który dotąd nie wielką zwracano uwagę. Oto koń zatrzymuje się i nie chce iść dalej, jeżeli na drodze napotka zakopanego trupa lub kości ludzkie.

W pewnym lesie konie regularnie zatrzymywały się na jednym punkcie drogi, zawracały i okrążały to miejsce Rozkopano ziemię i znaleziono zwłoki, które usunięto, nazajutrz konie przechodziły bez trudności.

Podobny fakt zauważono w roku 1554. Złodzieje ukradli z kościoła relikwie. Ale przywłaszczyli sobie tylko kosztowne relikwiarze, a szczątki świętego zakopali z brzegu drogi. Trzy tygodnie później pewien włościanin orał pole, ale konie jego zatrzymywały się i nie chciały ani kroku dalej postąpić. Włościanin zauważył, że ziemia w tem miejscu była poruszoną. Zaczął kopać i znalazł relikwie. Należałoby się przekonać, czy istotnie koń lęka się trupa, czy też poruszonej ziemi, w którą boi się zapaść.

Ile kosztowało odkrycie Ameryki?

Pewna gazeta hiszpańska oznajmia światu, iż niedawno temu znaleziono bardzo ważne dokumenty dotyczące odkrycia Ameryki, i to książki rachunkowe braci Pinzon, właścicieli warsztatów okrętowych w Polos, z których pomocą Krzysztof Kolumb mógł urzeczywistnić swój zamiar odkrycia nowego świata.

Z umieszczonych w tych książkach zapisków można zupełnie dokładnie obliczyć, ile kosztowało odkrycie Ameryki. Oto Kolumb sam, jako kierownik wycieczki pozamorskiej otrzymał roczne wynagrodzenie w iliści 1.659 pesetów (peseta prawie tyle co 1 korona), dwaj kierownicy towarzyszących mu okrętów, poddani rozkazom Kolumba, po 900 pesetów rocznie, a załogi tych trzech okrętów po 50 realów miesięcznie od głowy.

Na całe urządzenie tej flotyli zużyto 14 tysięcy pesetów; środki żywności kosztowały miesięcznie 5 pesetów od głowy. Wróciwszy z wyprawy otrzymał Kolumb 22 tysiące pesetów jako zwrot wydanych podczas podróży zaliczek. Wynagrodzenia obejmują czas od 3-go sierpnia 1492 roku do 4-go marca 1493 roku.

Do owych 22 tysięcy pesetów należy więc tylko jeszcze doliczyć 14 tysięcy pesetów, zużytych na urządzenie okrętów; razem przeto wydano na całą wyprawę 36 tysięcy pesetów, to znaczy na dzisiejsze stosunki około 32 tysiące koron. Zważywszy, że pod koniec XV. stulecia pieniądz znacznie większą posiadał wartość, aniżeli dzisiaj, przyznać trzeba, że odkrycie Ameryki było rzeczą dosyć tanią.

Ile jest włosów na głowie?

Ilość włosów zależy od ich barwy. Włosy rude są najgrubsze i jest ich zwykle na głowie dorosłego człowieka około 90 tysięcy. Włosów ciemnych jest więcej, bo 100 tysięcy, czarnych 105 tysięcy i wreszcie jasnych — 123 tysięcy. Jasne włosy, tak zwane blond, są najcieńsze i przeto musi ich być najwięcej na głowie dobrze zarośniętej.

Kto nie wierzy, niech policzy, jeżeli niema nic pilniejszego do roboty.

Grzeczność chińska.

Grzeczność chińska jest przysłowiową. Chińczyk jest tak uprzejmy, że pod każdym warunkiem nie powie drugiemu nic takiego, coby go mogło urazić. Nigdzie też to zdanie, że mowa służy na to, ażeby ukrywała myśli, niema więcej zastosowania, jak właśnie u Chińczyków.

Chińczyk woli wysilić mózg swój na wyszukanie najniemożliwszego kłamstwa, byleby nie dotknął próżności bliźniego.

Jako przykład posłużyć może list poniższy, napisany przez pewnego redaktora chińskiego do autora, którego utwór nie miał szczęścia podobać się redaktorowi. „Przeczytałem pracę pańską— pisze uprzejmy redaktor — i jestem nią zachwycony. Przysięgam panu na popioły przodków moich, że mi się nigdy w życiu nie zdarzyło czytać lepszej pracy. I z tego powodu obawiam się, że jego cesarska mość, najjaśniejszy władca i pan nasz, po przeczytaniu pracy pańskiej takby się nią zachwycił, że zakazałby nam najsurowiej drukować kiedy cokolwiek, coby nie dorównywało

owej pracy wspaniałej. A ponieważ rzeczą jest bardziej niż prawdopodobną, że w ciągu najbliższego tysiąca lat nie ukaże się dzieło podobnej wspaniałości, zwracamy panu jego boski manuskrypt z niewymownym żalem i prosimy tysiąckrotnie o przebaczenie".

Długość życia zwierząt

dotychczas nie została dokładnie określona.

Niedźwiedź i wilk nie żyją dłużej, niż lat dwadzieścia; lis staje się niedołężnym już w czternastym roku, za to zwierzęta drapieżne okolic podzwrotnikowych żyją stosunkowo bardzo długo.

W ogrodzie zoologicznym londyńskim jeden z lwów przeżył w klatce przeszło sześćdziesiąt lat, pomimo, że był karmiony złem mięsem i bułkami, a jak wiadomo, żołądek lwa źle trawi pokarmy mączne.

Zające żyją od 8 do 10 lat, kozy i owce około 15 lat, woły 25 lat, konie 25. Niektóre psy, zwłaszcza domowe, dosięgają do 20 i 25, koty niedołężnieją już w 15 roku i spędzają dni i noce na drzemce.

Godnem uwagi jest, że słoń żyje bardzo długo, jak utrzymują niektórzy, 300 do 400 lat. Starożytni historycy opowiadają, iż Aleksander Macedoński słonia zdobytego w bitwie poświęcił bogu słońca i polecił wypalić na jego skórze datę. Słoń ten żył jeszcze w 350 lat po śmierci Aleksandra.

Drugi wielki zwierz okolic podzwrotnikowych nosorożec, posiadający najgrubszą skórę, żyje najdłużej lat 26. Wieloryby, jeżeli mamy wierzyć marynarzom, żyją około 100 lat. Długowiecznością odznaczają się niektóre ptaki, jako to: papugi, orły i pelikany, które żyją po lat 100 i dłużej. We Florencyi papuga żyła w jednej rodzinie przez trzy pokolenia. W Wiedniu zdechł ze starości orzeł, który miał 103 lat.

Rośliny - olbrzymy.

W Kalifornii spalił się przed kilkoma laty las, który się składał z kilkudziesięciu drzew tylko, ale za to największych w świecie. Co nie udało się zniszczyć zębowi czasu i powietrza w ciągu wielu lat tysięcy, uczynił to ogień w ciągu kilku dni.

Jeden z tych leśnych olbrzymów, którego w swoim czasie ścięto, a był w środku wypalony, utworzył 4 metry wysoką, a 50 metrów długą pieczarę, którą aż do długości 25 metrów, nie pochylając się, przejść było można. W pniu innego olbrzyma zbudowano chatę, w której znaleść mogło pomieszczenie 15 osób.

O niezmiernej grubości niektórych z tych drzewnych starców, z których najstarszy, według obliczeń profesora Dawida Jordana, liczy znacznie więcej, niż 8 tysięcy lat, da wyobrażenie szczegół, że przy stole wyżniętym z jednego pnia zasiąść mogło 100 osób.

Przez pień starego „Wowana" przejechało całe towarzystwo, usadowione na wozie, ciągnącym przez parę koni, na wyrówna-

nym zaś pniaku innego olbrzym, pomieścił się oddział jazdy, uszeregowany w dwójki.

Między spalonymi obrzymami były i takie młodsze, które liczyły już 3 tysiące lat życia wówczas, gdy Chrystus przyszedł na świat.

Bardzo ciekawe są koleje życia dawnego średniowielkiego drzewa, ściętego w roku 1900. Drzewo to było w przecięciu 4 metry grube, 83 metry wysokie i liczyło 2.174 lat. Rozpoczęło więc rosnąć na 270 lat przed Chrystusem. W roku 245 naszej ery, to jest w wieku 516 lat, ucierpiało od pożaru, który zniszczył z jednej strony pień na 1 metr głęboko. By tę ranę pokryć nową tkanką, potrzebowało to drzewo 105 lat.

W roku 1441, to jest w 1712 roku życia zgorzało to drzewo po raz drugi, poczem płomienie wypaliły w pniu dwie po jedną trzecią metra głębokie bruzdy, do których zabliźnienia 139 lat było potrzeba.

W roku 1580, to jest 1851 roku życia drzewa, znowu wypalił w niem ogień dwie trzecie metra szerokie rany, które zabliźniły się po latach 56. Po raz ostatni padło to drzewo pastwą płomieni w roku 1797, to jest w 2.068 roku swojego życia. Kiedy w 103 lat później, to jest w roku 1900 drzewo ścięto, blizna nie była jeszcze w zupełności zagojoną.

Najlepszy sposób walki z suchotami,

przedewszystkiem z gruźlicą płucną, jest zwalczanie alkoholizmu.

Tak zawyrokował dr. Jakób Bertillon, kierownik urzędu statystycznego na miasto Paryż. W paryskim miesięczniku wykazuje ciekawą łączność gruźlicy płucnej z alkoholizmem, Wypracował on kartę i statystykę, gdzie i ilu w całej Francyi ludzi choruje na gruźlicę płucną.

Tak samo uczynił, co do używania trunków alkoholowych, a na pierwszem miejscu wódki. Przy porównaniu obu tych kart i obu tych statystyk, doszedł dr. Bertillon do powyższego twierdzenia, że gdzie najwięcej piją trunków alkoholowych, tam także zachodzi największa liczba chorych na gruźlicę płucną.

Były to północne departamenty; bretoński i normandzki. By swoje wywody tem wiarygodniejszemi uczynić, przytacza dr. Bertillon statystykę pod tym względem i innych państw, przyczem zarazem wskazuje na porównanie liczby mężkich i żeńskich chorych na gruźlicę.

I tak n. p. w Paryżu w przeciągu pięciu lat (1901 do 1905) była liczba mężkich chorych (od 30 lat zwyż) 2 do 3 razy większa od liczby żeńskich chorych.

Podobnie jest i w innych większych miastach, a to dlatego, że mężczyźni, używając więcej trunków alkoholicznych, tem wydatniejszy grunt tworzą dla gruźlicy płucnej.

Kto więc walczy przeciw alkoholizmowi i zmniejsza jego wpływ, ten zarazem walczy przeciw nie mniej wielkiemu i niebezpiecznemu wrogowi ludzkości — przeciw gruźlicy płucnej.

Pogrzeb muzułmanina.

W porównaniu z obrzędami pogrzebowymi innych religii, pogrzeb mahometanina (Turka, Araba, Persa i t. d.) przedstawia się bardzo prosto. Nie słychać posępnych pieśni kapłanów, ni dzwony kościelne grają pożegnanie zmarłemu, ani chórów niema żadnych, choćby on był największy i najpotężniejszy.

Na prostej desce z poprzecznymi drągami składa się ciało zmarłego, owinięte w płótno i tak na barkach sześciu ludzi odchodzi on z domu na wieczny spoczynek cmentarny. Tam czeka na niego kapłan i wypowiedziawszy krótką modlitwę nad grobem odchodzi, podczas, gdy tymczasem grabarze sadowią go w grobie, który później przywalają płaskim kamieniem bez żadnego znaku, o ile zmarła kobieta.

Na grobie zaś mężczyzn widać kamienie zdobne wykutymi turbanami.

Chińska świnia.

Ameryka południowa wysyła do Europy woły, Australia — barany i króliki, a oto Chiny zaczęły zarzucać europejskie rynki świniami. Chińska świnia zazwyczaj prędko i łatwo się tuczy. Podobna jest do kuli tłuszczu, w której wetknięto króciutkie nóżki, główkę ma płaską, szeroką z zadartym nosem, uszy maleńkie, ostre cienkie nastraszone, jak u buldoga, którego zresztą chińska świnia przypomina; tułów krótki i prawie leżący na ziemi. Koloru jest ciemno-rudawego, oczy ma jak szpareczki, tonące w tłuszczu i z trudem otwierające się.

Chińska świnia w ojczyźnie swej, żyje na swobodzie i szpera po ulicach, ryje po podwórzach i pożera wszystko, co się da i co spotka na swej drodze; najwstrętniejsze odpadki pożera, nic nie wstrzyma jej fantastycznego apetytu, o którym na Dalekim Wschodzie krążą całe legendy.

Chińska świnia spełnia swą służbę zdrowia z większem powodzeniem, niż słynne psy konstantynopolskie i sępy indyjskie. Chińczycy absolutnie nie troszczą się o nią. Żyje niezależnie, nic nie kosztuje swego gospodarza i rozmnaża się z nadzwyczajną szybkością. Nietylko na wsiach, ale i w chińskich miastach świnie podróżują po ulicach, a ponieważ do tej pory naród chiński uważa urodzenie się dziewczynki za nieszczęście i rodzice wyrzucają je z domów, to świnie znajdują niemowlęta i pożerają je.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyiewskiego.